



BOGUSŁAW GINCZA

Kanonier Bogusław Gincza, 18 lat, uczeń, kawaler.

13 kwietnia 1940 r. wywieziony do północnokazachstańskiej *obłasti*, czałowskiego rejonu, posiołka Kalinówka.

Podczas wojny 1939 r. uciekamy przed obawą bombardowania z Białegostoku do wsi Rosochate Kościelne, pow. wysokomazowiecki, gdzie przebyliśmy całą kampanię wrześniową i zimę aż do 1940 r., kiedy to 13 kwietnia, z piątku na sobotę, o 2.00 w nocy wpadają do mieszkania trzech sowieccy milicjanci i żądają zrobienia rewizji. My, tzn. ja, matka i siostra – bo o ojcu nie mieliśmy żadnej wiadomości od kampanii wrześniowej – przestraszeni i zaskoczeni tym nagłym napadem pokazujemy wszystkie papiery i rzeczy, które łotry nielitościwie rozrzucają po pokoju. Po jakimś czasie, nic nie znajdując, zabierają wszystkie papiery i każą prędko ubierać się, pozwalając wziąć ze sobą nie więcej jak sto kilogramów. Pakują nas na wóz i odwożą na stację Czyżew. Do jednego z brudnych towarowych wagonów, z których w każdym mieści się po trzydzieści kilka osób, wrzucają i nas. Życie podczas podróży okropne: ciemnota, ciasnota, brak jedzenia i wody, a do tego jeszcze choroby. Pomoc lekarska bardzo nędzna, można powiedzieć, że wcale. Po jednym tygodniu drogi przychodzi jakiś otyły lekarz, który po zbadaniu chorych pociesza wszystkich, że jak przyjedziemy, będą lekarstwa i szpitale. Tymczasem choroby rozprzestrzeniają się z szaloną szybkością, jest już kilka nawet wypadków śmierci – bolszewicy ciała wyrzucają po drodze, nie chowają.

Po trzech tygodniach takiej mordęgi i męki przyjeżdżamy. Samochodami rozwożą nas po kołchozach. Myśmy trafili do czałowskiego rejonu, kołchozu Kalinówka. Mieszkali tam Polacy przesiedleni z Ukrainy w 1936 r. Warunki życia bardzo złe, musimy sprzedawać wszystko, aby utrzymać się przy życiu. Do tego jeszcze 15 maja 1940 r. NKWD zabiera bez żadnych przyczyn matkę. Po trzech miesiącach oskarżają ją nie wiadomo dlaczego o kontrrewolucję i przysądżają

sześć lat obozu pracy i trzy lata pozbawienia praw. Zostaję z dziesięcioletnią siostrą. Muszę ciężko pracować na nasze utrzymanie, a warunki są coraz to gorsze.

Pud pszenicy kosztuje od 150 do 200 rubli, kilogram słoniny od 100 do 150, masło ok. stu, a zarobki moje w porównaniu z tym są bardzo małe. Zarabiam ciężką pracą najwięcej 200–250 rubli. Codziennie ze świtem, nic nie jedząc, idę na robotę. Robota w kołchozie jest bardzo ciężka i trzeba mozolnie pracować, żeby zarobić chociaż na to, co się zje podczas pracy. Jest to „obiad” składający się z polewki i rzadko kawałka jęczmiennego chleba. Wracam późną nocą głodny i spracowany. Muszę następnie wziąć się do pracy w domu, bo siostra zaledwie sobie ugotuje, a przecież trzeba zrobić porządek i opatrzyć mieszkanie na zimę. O każdy kawałek chleba muszę ciężko walczyć, bo sprzedać już nie ma co. Żyję dniem. Codziennie rano widać kupki ludzi, szczególnie Polaków, stojących przed sielskim sowietem [*sielsowietem*] i błagających o danie im kawałka chleba.

Widzę, że tak pracując, długo nie wytrzymam. A jeszcze bardziej martwiłem się o siostrę. Wziąłem się do handlu. Wraz z kilkoma towarzyszami skupuję tytoń, wiozę go kilkaset kilometrów dalej i sprzedaję z kilkukrotnym zarobkiem. Po kilku miesiącach takiej pracy aresztują moich kolegów, a w parę dni po tym i mnie. Wiozą mnie do Pietropawłowska, gdzie zostaję wtrącony do jednej z mrocznych i wilgotnych cel. Los moich kolegów nie jest mi znany, ale pewno też nie lepszy.

Po dwóch dniach siedzenia w mrocznej celi (jadłem tylko polewkę i 230 g czarnego chleba dziennie) rozpoczynają się żmudne badania. Pytają mnie o ojca, matkę, czym się w Polsce zajmowali i czy jest mi dobrze w Rosji, oraz jak mi się podoba ten ustrój. Z dnia na dzień widzę, że pogarsza się ich stosunek do mnie. Wreszcie dochodzi do tego, że pytają mnie, dlaczego groziłem biustowi Lenina i dlaczego prowadziłem fałszywą agitację wśród kołchoźników. Na wszystkie pytania odpowiadam „nie wiem”.

Widząc, że nie mogą ze mnie nic wydobyć prośbą, krzyczą, starają się mnie zaskoczyć różnymi pytaniami, a wreszcie grożą rewolwerem. Lecz ja, ponieważ byłem niewinny, do tego się nie przyznałem. Wreszcie po dwóch tygodniach takiej męki wypuszczają na wolność. Wychodzę, słaniając się na nogach, wyglądam jak cień. Przyjeżdżam „na gapę” do domu.

Po pewnym czasie znów zaczynam mą szlachetną robotę, z tą tylko różnicą, że sam. Otrzymuję list od matki. Píše, że znajduje się w nowosybirskiej *obłasti*, niedaleko Tomska, w obozie Jaja.

Nadchodzi amnestia... Bardzo dużo Polaków wraca z więzień i obozów pracy, a matki nie ma. Tymczasem nadchodzi zima, groźna i straszna, tym straszniejsza, że był głód. W nędznych lepiankach zimno, nie ma czym palić, nie ma drewna, jest tylko trochę łądyg od słoneczników nazbieranych przez lato. Ludzie chleba nie dostali. Ci, którzy mieli [co sprzedać], jeszcze żyją, a inni umierają z głodu i puchną w straszliwy sposób. W styczniu 1942 r. otrzymuję wiadomość o organizacji armii polskiej w Ługowoje.

Zostawiam siostrę z żoną jednego policjanta, a sam jadę z nim na południe. Po drodze wstępuję do Nowosybirsk i interweniuję w sprawie matki. 20 lutego 1942 r. wstępuję do wojska. Po dwóch dniach pobytu otrzymuję wiadomość o uwolnieniu matki.

Miejsce postoju, 23 stycznia 1943 r.